

Kiedy jedynaczka rodzi dziecko



Jedynak to bardzo trudny gatunek człowiek i skomplikowana sprawa. Z jednej strony mówi się o nim, że jest egoistą, że jako dziecko niczym się nie dzieli i myśli tylko o sobie, a jako dorosły często z trudnością odnajduje się w związkach i w sytuacjach, w których trzeba ustąpić pola innym, bywa egocentryczny i zadufany.

Z drugiej jednak strony jedynak to pierwsze, jedyne i ostatnie

dziecko swoich rodziców, dopieszczane (często też rozpieszczone), wychuchane, zadbane. Nie doświadcza trudów rywalizacji, kompleksów związanych z porównywaniem, jest w dorosłym życiu dobrym przywódcą, ambitnym i pewnym siebie. Jak każdy typ człowieka – ma swoje wady i zalety. Jedynaków można kochać lub nienawidzić i bardzo często na pierwszy rzut oka widać, że właśnie jedynakami są.

Sama też jestem jedynaczką.

Ubolewam nad tym, nie jestem z tego zadowolona ani dumna, jednak poza haha-hihi żarcikami, że może gdzieś w świecie pęta się gdzieś jakieś moje nieodkryte jeszcze starsze rodzeństwo, bo kto wie, gdzie tam tata hulał w swojej burzliwej młodości, niewiele dało się z tym zrobić.

Ostatnio, przy okazji jednego z najpopularniejszych, jak się potem okazało, tekstów na moim blogu o tym, co muszę zrobić **zanim będę mieć drugie dziecko** dowiedziałam się, że mam problemy typowe dla jedynaka. A i owszem, trudno, żebym miała inne. Nigdy tego nie ukrywałam, bo choćbym nie wiem jak z tym walczyła, całkiem sporo jest we mnie tych jedynaczych cech. Dziś jednak, poza rozważaniami nad ogólną naturą jedynactwa, chciałabym się zastanowić jak to jest, kiedy **jedynaczka rodzi dziecko**, bo jak każda relacja w życiu jedynaka, ta także naznaczona jest typowymi dla niego bardzo nieidealnymi cechami.

A więc po pierwsze, jak w każdej dziedzinie, tak i w relacjach z dzieckiem...

...moje jest moje.

Lubię, kiedy moje rzeczy należą do mnie, kiedy nikt innych ich nie rusza i nie używa. Całe życie to, co sobie gdzieś położyłam, leżało tam dopóki tego nie wzięłam. Moich kosmetyków używałam tylko ja, moje ubrania nosiłam tylko ja, moimi zabawkami bawiłam się tylko ja. Nie do końca więc z

łatwością przychodzi mi pogodzenie się z faktem, że od kiedy mam dziecko nic tak naprawdę do końca nie należy do mnie, nic nie ma swojego miejsca i nigdy nie wiem kiedy dany przedmiot, który trzymam w ręku, tak bardzo spodoba się mojemu pierworodnemu, że zapagnie on w tej właśnie sekundzie mieć go w swojej łapce. Najgorzej jest bodaj w kuchni, kiedy nagle upragnioną zabawką staje się garnek, w którym właśnie miałam gotować lub łyżka, którą właśnie miałam mieszać. A co się z jedzeniem wiąże...

...oddanie ostatniego, najsmaczniejszego kęsa dziecku staje się aktem najwyższego i najczystszej przejawu miłości macierzyńskiej.

Nie wiem, czy to typowa cecha jedynaka, ale jedzeniem również średnio lubię się dzielić. Oczywiście tym na moim talerzu, bo tym własnoręcznie ugotowanym w gigantycznych ilościach z radością obdzielę pół sąsiedztwa i znajomych. Co za tym idzie, moja pierwsza duża kłótnia z moim przyszłym wówczas mężem była właśnie o jedzenie. Strasznie się z tego teraz śmieję, ale musiało minąć kilka ładnych lat od tamtego momentu, żebyśmy znowu zamówili coś na spótkę, do podziału na pół.

Z moim dzieckiem dzielę się wszystkim, oddam mu każdy kęs, choćbym sama skręcała się z głodu. Ale oznacza to tylko jedno: że jest to miłość absolutna, bezwarunkowa i ponad wszelkie moje ograniczenia.

Mój czas należy do mnie.

To kolejny mój jedynaczy nawyk. Muszę mieć co jakiś czas trochę czasu tylko dla siebie, bo inaczej się uduszę. To może być wyjście z koleżanką, mały wyjazd, jakaś rozrywka tylko dla mnie, wizyta u kosmetyczki lub u fryzjera. Mam męża i dziecko, mam rodzinę, a jednak ten czas, który poświęcam sama sobie, który jest moją własną przyjemnością i moją świętością, jest

mi niezbędny do równowagi psychicznej i normalnego funkcjonowania w codziennym życiu. Czerpię radość z zabaw z synkiem, ze wspólnych wyjść i atrakcji, ale uważam i zawsze podkreślam, że tęsknota w małych dawkach jest bardzo zdrowa.

Rzadko słucham rad.

Całe życie słyszałam od różnych ludzi, że robię po swojemu, że jeszcze się przekonam, że powinnam zrobić jak mi radzą. Chcę, żeby raz na zawsze było jasne: nie lubię rad. Dobrych, złych, żadnych. Lubię zrobić po swojemu i przekonać się, czy mam rację. Czasem oczywiście jej nie mam, ale dopiero przekonawszy się o tym rozważam inne rozwiązania. To samo dotyczy wychowania mojego dziecka. Pół biedy, kiedy rady daje mi rodzina i znajomi. Jednak kiedy robi to obca osoba na ulicy, cała się jeżę i szybko uciekam. Sama – owszem – daję rady i uważam, że są jedyne słuszne. Ale to tylko kolejny znak, że jestem typową jedynaczką.

Dużo rozmawiam...

...sama ze sobą. Robię to wszędzie: w biurze, na ulicy, w domu. Nie patrzę jak reagują na to inni ludzie, bo pewnie najchętniej zapakowaliby mnie w kaftan bezpieczeństwa. Ale na urlopie macierzyńskim, w ciągu długich, samotnych dni, kiedy małe to-to leżące na macie edukacyjnej nie bardzo mogło być partnerem do dyskusji, była to bardzo przydatna umiejętność. No i, jak to mówią, czasem trzeba sobie porozmawiać z kimś inteligentnym. Żarcik!

Przelewam.

Brak rodzeństwa sprawił, że jako jedynaczka mam w sobie masę uczuć, które potrzebuję ułokować w kimś, na kim teraz i w przyszłości będę mogła polegać, kto będzie moją podporą i moim elementem wszechświata, który sprawi, że z dnia na dzień będę miała dla kogo żyć. Takimi osobami są w moim życiu mąż i rodzice, takim osobnikiem jest też moje dziecko. Przelewam na

nie masę uczuć, która kumuluje się szczególnie gdy go nie widzę, gdy za nim tęsknię, kiedy zdaję sobie sprawę, że mimo tych wszystkich opisanych powyżej trudności, które stawia przede mną bycie jedynaczką, nie wyobrażam już sobie jak to jest nie dzielić swojego życia, czasu i rzeczy z tą małą częścią mnie, którą sama (no, nie do końca sama) stworzyłam.

Nie jestem idealna. Codziennie walczę ze swoimi słabościami, ze swoimi wadami, które staram się obracać w pozytywy. Ale nade wszystko, chociaż tak często, ku swojemu ubolewaniu, stawiam na pierwszym miejscu siebie i swoje potrzeby, miłość, szczęście i radość chcę dzielić z moim dzieckiem. Więc chyba nie jest jeszcze ze mną aż tak źle?